

**ELIZA
ORZESZKOWA**

OGNIWA

Eliza Orzeszkowa

Ogniwa

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Ogniwa / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Utwór, w którym Eliza Orzeszkowa pokazuje, że tragiczne losy i smutek egzystencji dotyczą nie tylko ludzi ubogich bez szans na awans społeczny. Hrabia Strumieniecki po latach spotyka kolegę z dzieciństwa. Wydawałoby się, że dzieli ich wszystko — pochodzenie, stan posiadania, pozycja społeczna. A jednak okazuje się, że losy ludzkie w gruncie rzeczy są na swój sposób podobne, zaś radości i nieszczęścia bywają elementami życia każdego człowieka. Przy okazji opowieści o dziejach dwóch zegarów — własności hrabiego i Berka, dawni znajomi odnajdują analogię swoich historii, znaczonej łzami wydarzeń tragicznych i uśmiechami szczęścia.

Eliza Orzeszkowa

Ogniwa

Zaledwie śnieg, okrywający dachy i ulice, szarzeć zaczął we wczesnym zmroku zimowym, okna dużego i ozdobnego domu zajaśniały rześnistym światłem. Na ich złotym tle zarysowały się bogate festony firanek, wysmukłe postumenty lamp, grupy roślin i niestałe cienie postaci ludzkich.

Gdy na ulicy ustawał turkot kół, dolatywały z okien tych przez podwójne szyby słabe dźwięki muzyki fortepianowej. Łatwo było zgadnąć, że ludzie się tam bawią; że, powstawszy od stołu obiadowego, muzyką i rozmowami uprzyjemniają sobie chwile, ulatujące szybko...

Przed bramą stało kilka powozów z pięknymi zaprzęgami i stangretami w liberyach, którzy, zwiesiwszy głowy, drzemali lub uderzali się zziębłymi rękami po plecach i bokach. Ale z bramy wybiegł lokaj we fraku i wydał stangretom rozkaz odjechania do domów. Koła zaskrzypiały na śniegu; karety porwane przez spragnione już ruchu konie, sznurem potoczyły się w głąb ulicy, nad którą teraz właśnie pomiędzy śniegiem szarzącym a niebem jeszcze błękitnawem, zapalać się zaczęły dwa rzędy latarni.

Potem ulica przycichła; czasem tylko jednokonne sanki przelatywały ze słabym dzwonieniem; na białe chodniki padały z okien magazynów nieruchome płachty świateł, w których pojedynczo lub rojnie przesuwali się profile przechodniów.

Wówczas z bramy oświetlonego domu wyszedł mężczyzna, którego broda siwa wydawała się płatkami śniegu, położonym mu na piersi. Paltot futrzany z kosztownym kołnierzem szczelnie okrywał postać dość wysoką, z plecami trochę przygarbionymi; brzeg czapki futrzanej dotykał złotej oprawy okularów. Ubranie, ruchy, sam sposób, w jaki naciągał rękawiczki, znamionowały człowieka należącego do wyższych warstw społecznych. Miał brodę siwą, plecy przygarbione i okulary na oczach, ale z temi oznakami starości nie zgadzał się krok przyspieszony, jakim szedł po białym chodniku. W tym kroku, jako też w paru giestach, które uczynił, malowało się zniecierpliwienie, coś nakształt chęci zostawienia za sobą jak najdalej domu, który opuścił.

Bo też ilekroć salony jego córki napełniały się gwarem rozmów błyskotliwych, lekkich, pustych, w apartamencie zięcia rozkładano stoliki do kart, uczuwał on zawsze niesmak, smutek, nudę, i, o ile mógł, opuszczał dom ich, będący także jego domem.

Czy postarzawszy, stracił serce do świata, czy też świat odwrócił się od niego? W obu zarazem przypuszczeniach było wiele prawdy. Dla niego, dziadka wnuków dorosłych, nawet ojcowie i matki rodzin byli młodzieżą.

To bardzo dobrze: można przecież kochać młodzież i być przez nią kochanym; tylko, że on niedobrze już rozumie życie tych pokoleń młodych. Miał niegdyś ideały ukochane, które były mu miarą sądu o ludziach i rzeczach. Do tej miary przyłożeni: córka, zięć, wnuki, objawiają wzrost nadzwyczaj mały. Nie chce być niesprawiedliwym i odzywa się w nim przywiązanie ojcowskie. Ani córka i zięć, ani wnuczki i wnukowie nie są znowu – plamami atramentu. Mają swoje zalety, wdzięki, zdolności, tylko, że on rzadko może zgodzić się z nimi w czemkolwiek. Inne poglądy i upodobania, inne wspomnienia. Pousypialiby ze znudzenia, gdyby zaczął im prawić o tem, co dniem i nocą napełnia jego pamięć. Mieszka przy córce i zięciu w zbytku i blasku, a dnie spycha z życia, jak z pleców wory jałowego żwiru, i wlecze się ku końcowi tak prawie powoli, jak teraz idzie chodnikiem ulicy; bo, wyszedłszy z bramy domu pośpiesznym krokiem, teraz zaledwie porusza stopami.

Kiedy przebywa miejsca, na które pada z okien magazynów światło rozplamione, u szyi jego połyskuje kołnierz bobrowy, u oczu złota oprawa okularów, w ręku rzeźbiona gałka od laski. Lecz kiedy wchodzi na przestrzenie, pogrążone w półmroku, nie ma już na sobie połysków żadnych i rozmija się z przechodniami wyprostowanymi, przygarbionymi sam, jak cień, z płatkami śniegu, położonym na piersi i drugim, zwieszającym się z pod czapki, nad karkiem. Lecz miejsca oświetlone stają się coraz rzadszemi, a zanurzone w półmroku coraz obszerniejszemi. Ruch uliczny słabnie,

turkotu kół nie słycać wcale, i dzwonki u sanek odzywają się tylko kiedy-niekiedy. Nawet latarnie zdają się płonąć słabiej za szklami mętniejszemi; chodniki też węższe, pustsze, u ścian niższych, za których oknami są wprawdzie światła, ale nieliczne, a niema wcale lamp wysmukłych, waz wspaniałych ani dźwięków muzycznych.

Jest to dzielnica miasta znacznie uboższa od tej, w której znajduje się wspaniałe jego dzieci i jego mieszkanie. Nie nędza tu jeszcze mieszka, lecz ubóstwo bardzo jej blizkie i jeżeli dostatek, to bardzo skromny. Skromne też sklepiki zastąpiły magazyny z wystawami świetnemi, szyldy jaskrawe migocą w słabem świetle u bram starych i okien niewielkich; niektóre z nich, kołysząc się z powiewem wiatru, skrzypią nad głowami przechodniów.

Kołysze się niekiedy i poskrzypuje deska z tłem ciemnem i wymalowaną na niem tarczą zegara, wielką, białą, podobną do twarzy starej i zapłakanej. Spłowiałe cyfry i wskaźniki wyglądają jak zmarszczki przez czas wyryte, a kurzawy letnie i deszcze jesienne złożyły na nich mnóstwo czarnych kropek, jak zaschłych łez.

Wzrok starego pana w futrze bobrowem wypadkiem spotkał się z malowaną twarzą zegara, która w powiewie wiatru zlekka zakotyssała się i zaskrzypiała. Było to coś nakształt zaproszenia, wymówionego tonem żalonym. Zegar na szyldzie! Zegarmistrz! to bardzo dobrze! Właśnie zegarek jego potrzebuje naprawy. Od pewnego czasu opóźnia się wciąż i opóźnia po parę minut codziennie. Sam go już ciągle nastawia, naprawia, posuwa, cofa: nic nie pomaga. A przecież zna się na zegarach wyśmienicie i wszystkie, jakie są w domu, zostają pod jego dozorem wyłącznym i bezpośrednim. Ale dla przyjaciela starego trzeba zaważać porady lekarza. Wstąpił na parę schodków, otworzył drzwi sklepiku, lecz gdy zamknął je za sobą, nie zaraz oddalił się od progu; przez minut parę stał, słuchając i patrząc.

Izdebka była mała, niska, od sufitu do podłogi napełniona szmerem zgiełkliwym, monotonnym i zarazem niespokojnym, szybkim. Nie był to hałas, tylko szmer, nie wzdymający się, ani opadający nigdy, lecz ciągle, jednostajnie, bez sekundy przerwy, napełniający izbę od dołu do góry. Nic tu więcej słycać nie było: ani ruchu ulicznego, ani skrzypienia szyldów, ani żadnego dźwięku ze świata żyjących. Nic, tylko od sufitu do podłogi i od ściany do ściany rozmowa czy narada zegarów, wiszących na ścianach i mówiących jeden za drugim wielu głosami suchymi i stukotliwymi: „tak-tak... tak-to-tak... tak-to-tak...”

A w tym szmerze rozmowy czy narady, zda się, wiekuistej, u okna jedyne, przy stoliku, na którym paliła się lampa z długim kominkiem, nad mnóstwem błyszczących kótek, sprężynek, haczyków, siedział człowiek w ubraniu długim i wyszarzanem, z dwoma płatami śnieżnymi, jednym na piersiach, drugim nad karkiem zgiętym: była to broda siwa i siwe włosy, wydobywające się z pod jarmułki aksamitnej. W wielkich okularach, z narzędziem delikatnem w ręku siedział i pracował około błyszczących drobiazgów. Czoło miał zmarszczone, wargi odęte i uwagę głęboką w oczach, połyskujących iskrą srebrną z pod brwi siwych i powiek zaczerwienionych. Może ucho jego tak przywykło do stukotliwej rozmowy zegarów i tak się z nią zżyło, że dźwięki inne przebijały się do niego z trudnością; nie słyszał wejścia człowieka obcego.

W minutę później ze szmeru wytrysnął głos donośny, dźwięczny, dziwnie żywy i świeży, który na całą izbę zawołał: „ku – ku!” i potem już dalej miarowo powtarzał: „ku – ku! ku – ku!” aż za ósmym razem umilkł, a izdebkę napełniła znowu gwarliwa i, pomimo miarowości doskonałej, spieszna, niespokojna narada zegarów.

Stary żyd z dwoma płatami śniegu starości podniósł głowę, wydęte od skupienia wargi jego rozciągnęły się w błogim uśmiechu, spojrzeniem pełnem zadowolenia powiódł dokoła i spotkał się niem z twarzą przybysza, na której także rozlewał się uśmiech. Powstał nieco ze stołka, jarmułki palcami dotknął i zaczął:

– Czego wielmożny pan...

Spostrzegłszy wszakże futro kosztowne, złotą oprawę okularów, postawę przygarbioną, lecz jeszcze wyniosłą, poprawił się:

– Czego jasny pan żąda?

Ale jasny pan, zamiast odpowiedzieć, szedł wprost ku ścianie z szemrzącymi zegarami i stanął przed tym, który wydał był z siebie głos kukułki.

– Zkąd masz ten zegar? Staroświecki!... cyferblat osobliwy!... Zkąd go masz? Czyj on jest?

Żyda jakby sprężyna podrzuciła z nad stołka, zerwał się i dwoma spiesznymi krokami stanął obok starego pana przed szafką hebanową, wysoką; przez otwór jej wyglądało na świat oblicze zegara z kukułką.

– Czyj ten zegar? A czyj ma być? On mój! Jak syn swego ojca, jak przyjaciel jest swego przyjaciela, tak on mój! A jasny pan myślał, że może ten zegar jest u mnie w reperacji? że zaraz kto przyjdzie i jego ztąd zabierze? Aj, aj! Ja-by kijem tego, ktoby mnie ten zegar zabrać chciał! żeby mnie kto jego zabierał, to ja-by takiego hałasu narobił, że ludzie-by zbiegli się i musieli przepędzić tego, kto-by mnie ten zegar zabierał... bo on jest mój...

Mówił z żywością ogromną, z zapałem i razem ze śmiechem filuternym, lecz nagle umilkł i uważnie wpatrzył się w gościa, który na niego uwagi nie zwracając, z głową podniesioną, przypatrywał się zegarowi, aż zawołał:

– Daj-no stołek i lampę, bo nie mogę dojrzeć pejzażu na cyferblacie. Widzę, że jest, ale nie mogę dojrzeć, jaki...

Przy ostatnich wyrazach wstąpił na stołek, podsunęty mu przez żyda, a uczynił to tak sprężyście, jakgdyby nigdy dotąd nie powłóczył nogami.

– Dawaj lampę! – zawołał.

– Zaraz, zaraz, jasny panie!

I, słowa te mówiąc, stary żyd z lampą w rękę znalazł się obok gościa na drugim przysuniętym stołku.

– Genewa! – zawołał stary pan – tak, tak! fabryka szwajcarska; nie wiesz, jaka?

– Dlaczego nie mam wiedzieć? czy ja mogę czego o nim nie wiedzieć?

Z tryumfem wymienił nazwę fabryki, już oddawna nieistniejącej.

– To była taka fabryka, jakiej już na świecie niema!

– To prawda, ach, jaka to prawda, że takiej fabryki już na świecie niema! A jak on się nakręca?

Stary żyd, jakby z rękawa klucz wytrząsł, już go trzymał w palcach. W rzeczy samej wyjął go ze skrytki znajdującej się w szafce.

– Ot, jak on się nakręca! widzi jasny pan! A jak to dobrze, że ja go dziś jeszcze nie nakręcał, to mogę jasnemu panu pokazać. **Aj, faj!** taki stary klucz, a jak po oliwie chodzi!

Tak! Aha! A ja myślałem, że on się nakręca z tamtej strony, bo takie zegarki...

– Jasny pan ma omyłkę... takie zegarki nie nakręcają się nigdy z tamtej strony... to są wcale inne, które się nakręcają z tamtej strony... A teraz ja pokażę jasnemu panu te gzymsiki... Widzi jasny pan, jaka to delikatna robota jest i jakie to rzeźbienie i złocenie **fajn**...

– **Empire!** – szepnął stary pan.

– **Ampir!** cha, cha, cha! Na moje sumienie, jasny pan zna się na zegarkach, jak, za pozwoleniem, zegarmistrz! Czysty **Ampir!** Już blisko sto lat ma...

– Poczekaj! poczekaj! a toż co za sprężyna?

– Nu, to jest taka sprężyna, że jak ją pocisnę, to zaraz z zegaru wyleci ptak, skrzydłami załopoce i krzyceć zacznie.

– Aha! prawda! widziałem raz taką maszyneryę...

– Kiedy jasny pan raz widział, to ja jaśnie panu drugi raz pokażę...

Stali na stołkach obok siebie, postawą różni, bo gospodarz był szczuplejszym i niższym od gościa. Światło lampy, którą żyd trzymał w wysoko podniesionej ręce, padało na dwie twarze z rysami niepodobnymi, ale okryte jednostajnie wielką ilością zmarszczek. Obaj mieli okulary na oczach, wlepionych w zegar z błogością jednostajną. Wtem nad ich głowami siwymi i twarzami pomarszczonymi, wysadzony z wnętrza zegara przez sprężynę naciśniętą, wyleciał ptak metalowy,

załopotał skrzydłami i dźwięcznie, świeżo, na całą izbę wołać zaczął: „ku – ku”, „ku – ku”. Żyd pierwszy zstąpił ze stołka na ziemię i pomógł gościowi to samo uczynić, poczem, zapominając o postawieniu lampy na stole, znowu na niego patrzył.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.